

## **Rytmy Życia**

Autor tekstu: **Marian Dziwisz**

W Michałowce podobnie jak w Reymontowskich Lipcach rytm życia wyznaczały zarówno obowiązki gospodarskie, zwyczaje i obyczaje te osadzone w tradycji, jak też nowotworzone oraz kalendarz powinności religijnych, które nie zawsze można było nazwać rzymskokatolickimi. Tak też, jak u Reymonta oba porządki brały początek w jesieni. W niej bowiem dobiegał końca cykl rolniczy i rozpoczynał się nowy, jak też kończył się i równocześnie zaczynał rok liturgiczny. Zbierano więc z pól i ogrodów wszystko co zrodziła natura. Kopano więc ziemniaki. Zbierano jarzyny: marchew, pietruszkę, buraki ćwikłowe i pastewne. Zwożone je. Zabezpieczano na zimę w piwnicach lub kopcach ziemnych. Zbierano i zwożono kapustę a równocześnie orano i siano oziminy, których wschodzenie i wzrastanie wróżyło dobre lub słabe polny na przyszłość. Zielone poletka oziminy oznaczają dla chłopów rozpoczęcie nowego roku. Grabiono opadłe liście w sadach, wysypując je na kompostowiska, lub też ogacając nimi ściany domostw i obory, by zabezpieczyć je przed utratą ciepła gdy nadejdzie zima. Smażono powidła w wielkich kotłach umieszczonych na ziemnych paleniskach, lub w domu w żeliwnych garnkach. Suszono śliwy i gruszki w specjalnie zbudowanych polowych suszarniach, w lasach wplecionych z wikliny umieszczonych nad paleniskiem, w którym palono drewnem najczęściej pozyskiwanym z obciętych i wyschniętych konarów drzew owocowych. Dym unoszący się z pól, na których palono ogniska z ziemniaczanych badyli, mieszał się nad wioską z dymem z palenisk spod kotłów oraz z oparami prażonych śliw i suszonych owoców, tworząc niepowtarzalny bukiet zapachów.

W sadach obcinano gałęzie drzew owocowych. Wyłamywano zeschnięte łodygi malin a gdy przyszły już mrozy, szatkowano kapustę i układano w beczkach do kiszenia, soląc i udeptując bosymi nogami. W gospodarstwach, w których hodowana kaczki i gęsi, zbierały się kobiety na skubanie pierza. Była to dobra okazja dla wymiany doświadczeń, wspomnień i plotek. Do opowieści o duchach i strachach, o chorobach i lekarstwach na te choroby. Rozmawiano też o urokach i odczynianiu uroków i cudownej żywej wodzie, która pomaga w stanach beznadziejnych, ale trzeba po nią wędrować aż do tajemniczego źródła w Gorenicach. Tam był też znachor, który na sprawdzając mocz określał choroby i dawał na nie zioła. Gdy kończono skubanie organizowano wyskubek, na który zapraszano dziewczęta i chłopców. Czasami pojawiał się jakiś muzyk z harmonią lub skrzypcami. Rozmawiano, pito alkohol, tańczono niekiedy do samego rana. U gospodarzy, którzy hodowali owce dziewczęta „skubały” lub gręplowały wełnę i przędły włóczkę na kołowrotkach.

Przez dom Gienki i Stefka w tym czasie przewijało się wielu ludzi. Był to bowiem czas wszechstronnego majsterkowania. Raz to należało komuś zrobić drzwi czy okna w przy warsztacie stolarskim. Innym razem jakiś mebel lub urządzenie potrzebne w gospodarstwie. To znowu komuś podzelać, albo podkuć buty. Czy też naprawić zegar ścienny lub zegarek.

Poprawa sytuacji materialnej i częsty kontakt z miastem sprawiał, że ludzie coraz częściej nabywali zegarki i zegary, najczęściej bardziej lub mniej uszkodzone. Stefan nie wiadomo, gdzie i kiedy nauczył się je naprawiać. Zresztą on wszystko potrafił — złota rączka. Głosił zasady, które mu w tym pomagały: nie święci garnki lepią; jak człowiek coś zrobił i zepsuł, lub się samo zepsuło, to i człowiek potrafi to naprawić; trzeba tylko dobrze poznać rzecz i znaleźć lub wymyśleć potrzebne do tego narzędzia. W szufladach było zatem pełno części do zegarów i zegarków: kółek zębatach, sprężyn, włosów, osiek, kopert niklowanych i srebrzonych; okular; pilniki i pilniczki; różnej wielkości śrubokręty. Bywało, że w izbie stały trzy zegary szafkowe, z pięknymi cyferblatami, mosiężnymi wagami i wahadłami; trzy inne wisiały na ścianach a oprócz tego parę budzików. I były niemal nieprzespane noce, gdy te zegary najczęściej już naprawione o równej godzinie zaczęły dzwonić, kukać, brzęczeć. Aż nie przyszli ich właściciele i ich nie zabrali. Tak było w domu aż do wiosny.

Jak tylko zeszyły śniegi i ziemie obeschnęła, zaczynała się praca w ogrodzie i jego otoczeniu. Rozbierano gać i odsłaniano ściany domów. Bielono wapnem pnie drzew i spryskiwano nim krzewy agrestu i porzeczek. W inspektach, przygotowywano rozsadę kapusty i kalafiorów, wysiewano pomidory i paprykę. Plewiono poletka truskawek i poziomek. Zakładano gniazda dla wylęgu kurcząt, kacząt i gęsi. Nieco później wychodzono w pole, by je zaorać i zasiać uprawami jarymi. Sadzono ziemniaki. zagospodarowywano warzywniki. W pracach uczestniczyli wszyscy. Dorośli i dzieci z wyjątkiem niemowlaków.

Krajobraz wsi się zmieniał — piękniał. Zakwitły śliwy, grusze, czereśnie i wiśnie oraz jabłonie. Powietrze napełniało się zapachami. Wszystko stawało się piękne jak w Arkadii. Gdy przekwitwały drzewa owocowe zakwitły krzewy bzu, kaliny, głogów. Wśród kwiecia brzęczały pszczoły i owady.

Pod koniec maja rozpoczynały się zbiory czereśni. Najpierw zrywano majówki, później orleanki, miódówki, czarną chrome, balicką. Obierali dorośli i dzieci. Dorośli po drabinkach i rabinach. Dzieciaki wspinały się na drzewa, chodziły po gałęziach w ich koronach z koszykami lub wiaderkami, do których zrywano owoce. Zsypywano je do dużych koszy, mieszczących po 20 kg owoców. Kto miał konia wioził owoce na Kleparz w Krakowie, kto nie miał korzystał z uprzejmości tych, którzy go mieli, lub też zawieszał kosze na ramie roweru i tak wędrował z nimi do miasta, lub też kobiety obwiązywały je prześcieradłem, zakładały na plecy i tak obciążone niosły do podmiejskiego autobusu w Witkowicach, który dojeżdżał do Kleparza. Później był czas zbioru truskawek i poziomek, z którymi postępowano podobnie.

W tym samym czasie, doglądano wylęgłych kurcząt, kacząt i gąsiąt. Okopywano lub obradlano ziemniaki. Koszono trawy i kończynę na siano. Nikt nie miał czasu na próżnowanie, tym bardziej, że dzieci chodziły jeszcze do szkoły, tęskniąc za wakacjami. Sad przygotowywał kolejne zajęcia. Dojrzewały bowiem maliny, agrest i porzeczki a następnie śliwy, gruszki, jabłka i tak aż do końca lata trzeba było się w nim trudzić, by zarobić na ubrania, na obuwie, na przedmioty potrzebne w gospodarstwie i na jakieś drobne przyjemności. Po połowie lipca zaczynały się żniwa. Żniwa, młocka i orka ściernisk kończyły okres lata i zamykały powoli rok rolniczy.

Na kalendarz prac w polu i w ogrodzie nakładał się jednak jeszcze inny rytm życia — obrzędowo-liturgiczny, mający swe źródła w tradycji i religii. Tu wciąż jeszcze w sposób dość wyraźny splatały się z sobą elementy jakiejś starej religii przaprzodków z religią rzymskokatolicką. Już mało znane święta ze świętami chrześcijańskimi. Tu jeszcze proces inkulturacji się nie zamknął, pomimo, że księża starali się jak mogli walczyć „z pogańskimi naleciałościami”. Starając się te najbardziej odporne „ochrzcić” i zaakceptować. Opisanie niektórych z nich byłoby niemożliwe, bez wiedzy jaką na ich temat przekazywała Marianowi jego sędziwa prababcia ze strony matki. Umarła w latach sześćdziesiątych XX wieku mając ponad dziewięćdziesiąt lat, pamiętała więc czasy wieku XIX i będą one przedstawione, tak jak ona je przekazała, lub jak on sam ich doświadczył, bez konfrontowania z informacjami przekazanymi przez Kolbergera lub Zofię Kossak-Szczucką.

\*\*\*

Nowy rok liturgiczny w Kościele, zaczynał się właściwie w październiku nabożeństwami różańcowymi, w który uczestniczyły głównie kobiety i to starsze. Pod koniec października zaczynały się przygotowania do Zaduszek. Sprzątano na cmentarzach. Porządkowano groby, przyozdabiając je zielonymi gałązkami, układankami z kasztanów, żołądzi, sinieguliszek. We Wszystkich Świętych ludzie modlili się w kościele, rzadko kto odwiedzał cmentarz. Dopiero w Dzień Zaduszny późnym popołudniem spieszo do kościoła w Naramie, bo do tej parafii należała Michałówka i znaczna część mieszkańców Górnej Wsi. Pozostali z Górnej Wsi należeli do parafii w Korzkwi. W Naramie, za szkołą, nie zbyt daleko od kościoła i w pobliżu Naramskiego Lasu był cmentarz, na który leżeli bliscy. O zachodzie słońca w kościele odbywały się egzekwie — żałobne nieszpory w intencji wszystkich zmarłych, celebrowane przez proboszcza ubranego w żałobną kapę. Przed ołtarzem na katafalku była ustawiona symboliczna, trumna używana tylko na okoliczność Dnia Zadusznego. Śpiewano psalmy i pieśni w intencji zmarłych. W kościele panował półmrok, był bowiem rozświetlany świecami. Po nabożeństwie przed kościołem ustawiała się procesja, podobna do konduktu żałobnego. Naprzodzie procesji niesiono krzyż, za nim chorągiew żałobną, za nimi szedł ksiądz w tej samej żałobnej kapie, w której odprawiał egzekwie. Za nim niesiono ową symboliczną trumnę. Za trumną szli ludzie z naftowymi latarniami i świeczkami. Po drodze do cmentarza śpiewano pieśni. Na cmentarzu procesja przechodziła główną aleją i zwracała do bramy cmentarnej. Tu rozwiązywała się. Ksiądz, organista i kościelny wracali na plebanię. Wierni zostawali na cmentarzu i gromadzili się przy grobach bliskich. Zapalali świeczki na grobach. Modlili się. Wielu zostawało czuwać przy grobach aż minie północ. Mieli z sobą jedzenie i picie — podobne po to by podzielić się nim duchami zmarłych. Po Zaduszkach niektórzy we wsi opowiadali, że na cmentarzu spotkali duchy bliskich osób, że niektóre z nich udzielały im rad, przestróg, ostrzeżeń. Bywało namawiały do zawarcia zgody z kimś z rodziny lub wioski. Opowiadano też o ukazaniu się dziewczyny w ślubnym stroju z welonem na głowie. Mówiono, że to duch jakiejś parafianki, której narzeczony miał tragiczny wypadek w dniu ślubu i umarł. Ktoś z nią nawet rozmawiał i mówił, że ona oczekuje, że ksiądz udzieli jej ślubu na grobie ukochanego.

Będąc dzieckiem Marian niewiele rozumiał z obrzędów Dnia Zadusznego. Owszem sprzątanie grobów bliskich i ich odwiedzanie tak, tym bardziej że na cmentarzu leżał jego dziadek i brat, ale egzekwii odprawianych w kościele i procesji z trumną na cmentarz, ani też pozostawiania przez niektórych na nim aż do północy nie. Rodzice ich znaczenia też nie bardzo potrafili mu wyjaśnić. Prababcia mówiła, że egzekwie i procesja na cmentarz, to symboliczny pogrzeb dla tych, którzy zginęli bez wieści, lub nie zostali w sposób godny pochowani. Prawdziwy sens tej ceremonii

zrozumiał dorastając, dzięki lekturze: Mickiewiczowskich *Dziadów*, *Antygony* Sofoklesa; powieści o powstaniach, pierwszej i II wojnie światowej, wierszy Czesława Miłosza *W Warszawie*, Tadeusza Różewicza *Ocalony*. Przecież po okrutnej wojnie, która co tylko minęła sens tego symbolicznego pogrzebu był szczególny. Po latach dopiero uświadomił sobie, że ludzie, którzy szli za trumną, odziani w żałobę i w czasie uroczystości płakali, to matki, żony, siostry lub bracia tych spośród parafian, którzy nie wrócili z wojny i nawet jeśli wiedzieli, że zginęli — nie żyją, to nie mogli ich godnie pogrzebać.

W noc Andrzejkową zbierały się po domach panny, by sobie wróżyć. Wróżyły z lanego wosku. Z butów układanych od okna pokoju do wyjścia z domu. Ta której but jako pierwszy przekroczył próg mogła spodziewać się zamażpójścia. Wróżono ze szczekania i ujadania psów, że kawaler nadejdzie z tej strony z której rozlegnie się szczekanie. Jeżeli słyszano rwestes gryzących się psów, wróżono, że kawalerowie pobiją się o pannę, lub że we wsi grożą w ciągu najbliższego roku kłótnie i swary.

W kościele rozpoczynał się adwent, w którym o świcie słońca odprawiano roraty.

Tak więc jeszcze nocą wychodzono z domów z latarniami i niekiedy już latarkami elektrycznymi i wędrowano często już przez zaśnieżone pola do Naramy. Oczywiście najważniejszym był dzień 8 grudnia — święto Niepokalnego Poczęcia Najświętszej Marii Panny. Po nim rozpoczynały się przygotowania do Świąt Bożego Narodzenia. Przygotowywano się w domach. Sprzątano, pieczona ciastka na choinki, przygotowywano ozdoby najczęściej wyrabiane ze słomek owsianych, przeplatanych kolorowymi bibułkami, pająki, świat z kolorowych opłatków. Owijano orzechy w staniol. Wybierano najbardziej kolorowe jabłka. W końcu ucierano mak na makowce i pieczono ciasta. We wsi wieczorami można już było usłyszeć kolędy, to u kogoś w domu przygotowywali się do występów kolędniczy.

Najważniejszym był wieczór wigilijny. W ten wieczór tylko w najbogatszych rodzinach było 12 potraw. W tych Okalicach jednak nie było na stołach ryb. W domach biedniejszych ograniczano się do paru potraw. Najczęściej były to: kapusta z grochem, zupa grzybowa, kluski z makiem i kompot z suszonych owoców. Przed wieczerą ubierano choinkę, którą bądź to przywieszano na tragarzu u powały, bądź też jeżeli izba był dostatecznie duża ustawiano przy oknie. Na choince umieszczano owoce, słodczyce — głównie ciastka, jeżeli ktoś miał to szklane bombki. Zawieszano ozdoby słomkowe i łańcuchy. Na gałązkach, w specjalnych uchwytach przypinano świeczki. Gdy choinka była już ubrana i wszyscy wykapani, stół nakryty do wieczerzy, oczekiwano na pojawienie się pierwszej gwiazdki na niebie. Izby rozświetlały lampy naftowe i świece. Wraz z pojawieniem się gwiazdy zbierano się wokół stołu, na który oprócz potraw były wyłożone opłatki. Najstarsza osoba w rodzinie rozdawała opłatki wszystkim domownikom. Do niej podchodzili kolejno i składali życzenia pozostali. Później składali sobie życzenia nawzajem. Życzenia miały stałą, jak mantra formułę: „Życzę Ci zdrowia, szczęścia, fortuny, a po śmierci w niebie korony”. Dopiero, później, gdzieś w latach sześćdziesiątych formuła zanikała na rzecz życzeń układanych przez siebie. Podczas składanie życzeń osoba je składająca odrywała kawałeczki z opłatka tego, komu je składała. Było to oczywiście cztery kawałeczki, bo tyle było życzeń. Dopiero kiedy skończyła, zjadała odłamany opłatek i podchodziła do następnej. Gdy wszyscy złożyli sobie życzenia zasiadano do wieczerzy.

Ten dzień i wieczór przesilenia jesienno — zimowego, posiadał jeszcze i inne uroki. Wiązano z nim różne wróżby i przepowiednie. Dobrze było jeżeli do domu zawitał jakiś sąsiad, czy gość i jeżeli to był mężczyzna. Pojawienie się jako pierwszej obcej kobiety wróżyło najczęściej waśnie i nieszczęścia. W niektórych domach, po wieczerzy, do izby wnoszono snop zboża. Stawiano go w kącie i siadano wkoło niego. Zawiazywano kolejno oczy i ten kto miał je zawiązane wyciągał ze snopka źdźbło zboża, chwytając go tuż pod kłosem. Z wyciągniętego źdźbła wróżono. Jeżeli znajdujący się na nim kłos był pełny i po zamknięciu w dłoni wystawał ponad nią, wróżyło to urodzaj w polu, dostatek i zdrowie. Jeżeli źdźbło wyciągnęła panna lub kawaler i liczba ziaren w kłosie była parzysta, to wróżyło to zamażpójście lub ożenek w nadchodzącym roku. Jeżeli słoma wyciągniętego źdźbła była nadłamana, oznaczało to jakąś chorobę, podobnie jeżeli był to kłos żyta, a w nim znalazł się sporysz, co oznaczało chorobę lub śmierć wśród bliskich. Trudno wyliczyć wszystkie wróżby, ale tak siedziano i wróżono do chwili, w które należało wyjść na pasterkę do kościoła, a ta odbywała się o północy. Wszyscy, którzy na nią szli, ubierali się w odświętne stroje, chociaż nie było ich widać spod płaszczy czy kożuchów. Zabierali z sobą latarnie lub latarki, chociaż bywało, że noc była księżycowa, niebo rozgwieżdżone i biel śniegu dawały tyle światła i blasku, że dodatkowe oświetlenie było zbędne. Po pasterce kolędniczy rozpoczynali swoją wędrówkę po wsi. Oczywiście na razie symbolicznie zaśpiewali pod oknem dwóch lub trzech domów. Będą mieli czas by obejść całą wieś, a może i inne zanim nadejdą zapusty.

\*\*\*

Tradycja kolędnicza miała swój długi żywot, a prezentowana treść i forma przedstawień trwa od czasów międzywojennych. Grupa kolędnicza składała się: z Anioła, Diabła, Śmierci, króla Heroda, Ułana, Turka, Żyda i kozy (oczywiście aktora przebranego za kozę), organisty grającego na akordeonie. Stroje kolędników były bajecznie kolorowe. Ułan nosił mundur i czapkę oraz szablę prze boku. Turek miał obcisłe kolorowe spodnie, ozdobioną świecidełkami bluzę, ogromną czapkę w formie rogu przybraną drobnymi i grubszyimi bombkami choinkowymi i dzwoneczkami, podobnie jak Ułan miał przypiętą szablę, tyle że nie prostą, ale zakrzywioną. Szable były autentyczne a nie jakieś atrapy. Król Herod miał oczywiście szkarłatny płaszcz ze złożonymi obszyciami, złotą koronę ozdobioną licznymi świecidełkami i berło. Żyd był odziany w chałat ze lśniącego materiału, miała maskę z brodą, zwój papieru i kawałek rurki z czarnej gumy. Diabeł był odziany w skórę, miał maskę z czerwonymi rogami i ogon. Śmierć na wierzchu ubrania była odziana białym prześcieradłem, miała trupią maskę i kosę z drewnianym ostrzem owiniętym srebrzystą folią aluminiową.

Kolędowanie rozpoczynali o zmierzchu. Podchodzili pod okna domów. Dzwonili dzwoneczkami obwieszczając: „Stała się nam nowina w Betlejem Panna urodziła syna”. Organista grając na akordeonie intonował kolę i śpiewali. Zwykle kolędnikom towarzyszyła grupka dzieciaków i młodzieży, śpiewających wespół z nimi. Po zakończeniu śpiewania oczekiwali chwilę na wyjście kogoś z domowników, podziękowanie i datek pieniężny, lub na zaproszenie do izby z przedstawieniem. Po podziękowaniu i otrzymaniu datku śpiewali: „Za kolędę dziękujemy, zdrowia szczęści wam życzymy na ten nowy rok”. Gdy nie doczekali się podziękowania i datku, odchodzili ze śpiewem: „u powały wisi sadło proście Boga aby spadło”. W domach, gdzie zwykle wpuszczano ich na przedstawienie, oczekiwali znajomi gospodarzy i wiele dzieci z wioski. Wchodził więc Anioł i dzwoniąc dzwoneczkiem jeszcze raz obwieszczał radosną nowinę. Proszono o krzesło dla króla Heroda. Ustawiano je na środku izby. Herod siadał. Swoją rolę rozpoczynał Ułan słowami: „Jam Ułan dzielny powracam z wojny...” i opowiadał gdzie z kim walczył i jakie odnosił sukcesy. Pod koniec opowieści na przeciw niego stawał Turek z obnażoną szablą. Ułan dobywał szablę i stawał mu naprzeciw. Odbywał się krótki zaimprovizowany pojedynek na szablę. Krzyżowali je z sobą, uderzając o nie tak, że aż iskry leciały. W walce Ułan był raniony. Wtedy śpiewano piosenkę o Ułanie i kalinie. Po zakończonej scenie o walecznym ułanie. Rozpoczynał się sąd na Herodem, który kończył się podejściem Śmierci z kosą i zaimprovizowanym ścięciem głowy oraz porwaniem króla przez diabła do piekła, ze słowami: „za twe grzechy za twe zbytki, chodź do piekła boś ty brzydki”. Aktorzy zabierali krzesło — tron Heroda i usuwali się w kąt izby, zostawiając pusty środek. W drzwiach izby pojawiał się stojący dotąd w sieni Żyd z kozą. Kozą biegała po izbie. Biegała głównie panienki. Żyd wchodził na środek, rozwijał zwój papieru, udawał że go czyta, coś mamrotał, mało zrozumiałego, kiwał się przy tym i uderzał w zwój gumy. Kozą chwiała się na nogach, aż w końcu padała. Śmierć groziła jej kosą, udając, że obetnie głowę. Rozlegały się okrzyki: „koza ci zdechła...”. Żyd starał się ją przywrócić do życia. Podnosił, podpierał, ale ona znowu padała. Wtedy gospodarz lub gospodyni podchodzili do niej i dawali lekarstwo. Był to kieliszek wódki. Kozą wypijała. Wstawała na równe nogi i rozpoczynała na nowo harce. Żyd wyprowadzał kozę. Jeżeli w izbie było dużo młodzieży, dzieci rozchodziły się do domów, panny i kawalerowie zostawali. Gospodarze stawiali na stół poczęstunek i alkohol. Rozpoczynały się tańce i zabawa trwająca do świtu. Jeżeli nie było młodzieży i woli do zabawy na tym przedstawienie kończono, składając podziękowanie za kolędę, życząc gospodarzom zdrowia, pomyślności, urodzaju, oczywiście w długiej, rymowanej przyśpiewce.

Bywało, że za oknami pojawiały się inne grupy kolędników z okolicznych wiosek. Niekiedy dzieci z szopką, niekiedy kolędnicy z gwiazdą i turoniem. Ci jednak nie dawali żadnych przedstawień, tylko śpiewali kolędy.

Karnawał kończył się ostatkami. Wtedy dzieci przebierały się za drobów lub drabów. Ubierały się w skurzone kubraki, futerkiem na wierzch, przepasywały się powróslami. Twarz smarowały sadzą i chodziły od domu do domu zbierając jaja i datki. W Zielonkach i Bibicach przebierały się za pucheroków, ubierając kolorowe zrobione z bibuły czapy. Tam też pojawiała się Siuda Baba.

Należy jednak wspomnieć jeszcze o innych uroczystościach kościelnych pomiędzy Wigilią a końcem karnawału. W drugi dzień świąt Bożego Narodzenia — w Szczepana ludzie na sumę przychodzili z torebkami ziaren owsa. Ksiądz po zakończeniu liturgii mszy świecił owies, a wychodzący z kościoła obsypywali się nim, to na pamiątkę kamienowania Szczepana przed Świątynią Jerozolimską, za bluźnierstwo, poprzez stwierdzenie, że: „Bóg nie mieszka w dziełach rąk ludzkich”. Obsypanie owsem wróżyło szczęście i w polu urodzaj, a pannom zamążpójście.

Przygnębiające były nieszpory w ostatnim dniu roku. Zbierano się już po zmroku. Celebrował je

ksiądz ubrany w adwentową — fioletową kapę. Wygłaszał kazanie o Żydach, którzy zamordowali Jezusa, po czym rozpoczynały się modły o nawrócenie Żydów przeplatane śpiewaniem psalmów. Uroczystość była tym mroczniejsza, że ksiądz ani słowem nie wspominał o wydarzeniach co tylko minionej wojny i holokauście. Z nabożeństwa o nawrócenie Żydów zrezygnowano dopiero w czasach II Soboru Watykańskiego.

Na wieczornym nabożeństwie w Trzech Króli pojawiały się w kościele grupy kolędników z całej parafii.

\*\*\*

Po środzie popielcowej rozpoczynał się wielki post, w czasie którego nawet w niedziele nie jedzono potraw mięsnych, nie używano smalcu ale oleju lub margaryny, w kuchni królował nieokraszony żur z ziemniakami.

Drugiego lutego obchodzono święto Matko Boskiej Gromniczej. Rankiem kobiety zbierały z domu świece i szły do kościoła na Mszę. Po zakończonej liturgii ksiądz święcił gromnice, a kościelny zapalał od wiecznej lampki ogarek i zapalał im świecę najbliższej stojącej osoby. Od niej zapalano następne. Po skończonym nabożeństwie, te osoby które mieszkały bliżej, osłaniając płomień niosły gromnice do domów. Mieszkające dalej gasiły je. Po przyjsciu do domu wstawiano świece w specjalnie przeznaczone dla niej miejsce. Pełniła ona w domu bardzo ważną funkcję, chroniąc go przed złym, przed zarazą, chorobami, przed uderzeniami piorunów. Gromnicę stawiano i zapalano przy ciężko chorym. Gdy nadciągała burza, ustawiano ją w oknie, a gdy już nadciągnęła zapalano ją, klękano i modlono się, śpiewano pieśni nabożne: „Pod Twą obronę, Ojczy na niebie...” i „Kto się w opiekę odda Panu swemu”. Dodać należy, że bardzo lękano się burzy. Większość zabudowań była wtedy kryta strzechą i do połowy lat pięćdziesiątych na żadnym z zabudowań nie było piorunochronu. Zdarzało się bardzo często, że w czasie burzy tu i ówdzie wybuchały pożary od uderzenia pioruna.

W okresie postu chodzono do kościoła na drogę krzyżową a w niedziele popołudniu na „gorzkie zale”.

Wielki Tydzień rozpoczynała niedziela palmowa. Przynoszono na nią gałązki wierzby z baziami związane łożyną. Później, pod koniec lat pięćdziesiątych, zaczęto przynosić palmy przyozdobione suchymi, barwionymi trawami i nieśmiertelnikami. Po powrocie do domu nie wnoszono ich do izb, ale przed wejściem do domu, każdy z domowników odrywał po trzy bazie i zjadał. Palmę wieszano pod zadaszeniem na ścianie zewnętrznej domu. Istniał bowiem przesąd, że palma wniesiona do domu gromadzi w nim owady, przede wszystkim muchy.

Prababcia Mariana opowiadała, że z palmami był i jest kłopot i nie od razu były zaakceptowane przez kościół, pomimo, że już obchodzono w nim niedzielę palmową, upamiętniającą triumfalny wjazd Jezusa do Jerozolimy. Jeszcze za jej młodości, czyli przed końcem XIX wieku, palmy były znane ze zupełnie innego obrzędu. W dniu przesilenia zimowo — wiosennego, który przypadał w marcu. Młodzież żeńska i męska tuż po południu gromadziła się w źródłanych dolinach, w których zwykle rosły wierzby. Zbierali się u źródła.

Chłopcy wchodzili na drzewa, lub też z ziemi zrywali wierzbowe gałązki z baziami. Po kilka gałązek obwiązywali łożyną (paskami młodej kory z wikliny lub wierzby). Gdy każdy z uczestników zgromadzenia miał już tak sporządzoną palmę, ustawiano się w kręgu wokół źródła. Krążąc tanecznym krokiem, śpiewano pieśni o słońcu ogrzewającym ziemię, o ciepłym wietrze, który nadchodzi, o piorunie który w ziemię uderzy by rodziła plony i po uderzeniu, którego będzie można na niej siadać. Po zakończonych śpiewach i tańcu moczo no wiązki wierzbowe w wodzie źródlanej, po czym każdy odrywał po trzy bazie i po kolei je połykał mówiąc: „przeciwko nieszczęściu; przeciwko chorobie; na zdrowie”. Gdy uczynili to wszyscy, dziewczęta rozbiegały się a chłopcy goniąc za nimi, uderzali je wiązkami po łydkach, wykrzykując: „nie ja biję, wierzba bije: na zdrowie; na wzrastanie; na szczęście”. Palmy przynoszono do domów i tu domownicy, którzy nie brali udziału w obrzędzie: dorośli i dzieci obrywali dla siebie po trzy bazie i połykali, wypowiadając znaną już formułę. Księża na kazaniach ostro piętnowali „pogański obyczaj” i zachęcali by przyjsć z palmami do kościoła w niedzielę przed Wielkanocą. Po pierwszej wojnie światowej, już młodzież nie chodziła do źródłanych dolin, ale wszyscy zanosili palmy do kościoła. Od tego czasu zaczęły one się zmieniać. Do gałązek wierzbowych, niektórzy dodawali gałązki mirtu, żdzbla trzciny lub innych traw.

Obchody Wielkiego Tygodnia i Wielkiej Nocy w naramskiej parafii nie wyróżniały się niczym specyficznym w stosunku do innych. Nowy akcent w obchodach Wielkiego Tygodnia pojawiła się w Michałowce (wtedy już w Michałowicach III) w latach pięćdziesiątych, ale został on wprowadzony przez proboszcza młodej michałowickiej Parafii ks. Mariana Pałęgę. To on jako pierwszy w okolicy

zaczął wprowadzać zwyczaj święcenia potraw wielkanocnych na świeżym powietrzu. Najpierw przy kaplicy, która była urządzona w remizie strażackiej, stawiano stoły, na nich koszyki i koszyczki do święcenia. Stawiano też na nim duży kosz na dary żywnościowe, dla rodzin biednych. Później, gdy część ludzi przeniosła się do tej parafii z Michałówki, ks. Pałęga przyjeżdżał na miejsce i tu na ustawionych stołach święcił, tu też wystawiano kosz dla będących w biedzie. Święcenie odbywało się na podwórku gospodarstwa Lusinów.

W obchodach Wielkiej Nocy nie pojawiały się jednak żadne „pogańskie” naleciałości. Te były wplecione i to do lat 80. XX wieku w majowe uroczystości maryjne. Równolegle bowiem majówki były odprowadzane popołudniami w kościele i o zmierzchu na wsiach, w tym w Michałowce, pod lipami na rozdrożach. Te w kościele przetrwały, te pod drzewami już, lub prawie już odeszły do przeszłości, a przecież tradycja ich jest bardzo stara, jeżeli odwołać się do wspomnień Prababci. A opowiadała ona, że zupełnie podobnie jak obecnie, od pierwszego dnia maja, zbierali się ludzie, głównie kobiety, młodzież i dzieci pod przydrożnymi drzewami nieopodal rozdroży. Do końca XIX wieku uroczystości majowe nie miały charakteru maryjnego, były poświęcone Matce Ziemi lub innej bogini zwanej Matką, Panią, Żywicielką, Panią Żywiołów. Dopiero z początkiem nowego wieku, stare pieśni i modlitwy do niej zaczęły być przeplatane pieśniami maryjnymi, lub też do niektórych ze strych dodawano strofy poświęcone Matce Boskiej — Marii. Wtedy też zaczęto na drzewach umieszczać wizerunki Marii Panny lub stawiać kapliczki jej poświęcone.

Uroczystość pod drzewami rozpoczynano pieśnią:

<i>Chwalcie</i>		<i>łąki</i>		<i>umajone.</i>
<i>Góry,</i>		<i>doliny</i>		<i>zielone,</i>
<i>Chwalcie</i>		<i>cieniste</i>		<i>gaiki,</i>
<i>Źródła i kręte strumyki.</i>				
<i>Co</i>	<i>igra</i>		<i>z morza</i>	<i>falami,</i>
<i>W powietrzu</i>		<i>buja</i>		<i>skrzydłami,</i>
<i>Chwalcie</i>	<i>z nami</i>		<i>Panią</i>	<i>świata.</i>
<i>Jej dłoń z naszą wieniec splata.</i>				
<i>Ona</i>	<i>dzieł</i>		<i>wszystkich</i>	<i>korona</i>
<i>Nad</i>		<i>żywioły</i>		<i>wywyższona;</i>
<i>Choć</i>	<i>jest</i>	<i>Panią</i>	<i>naszej</i>	<i>Ziemi</i>
<i>Nie gardzi dary naszymi.</i>				

Po odśpiewaniu tej pieśni składano dary. Pod drzewami, pod zrobionym z deszczułek zadaszaniu, lub daszkiem ze słomy stał kosz i gliniany dzban. W darach składano to co kto przyniósł: jajko, kromkę chleba, lub podplomyka zawiniętego w czystą szmatkę, trochę masła zawiniętego w liść tataraku, kubek mleka. Mleko zlewano do dzbana, pozostałe dary składano w koszu. Podobno dawno temu zanoszono dary jakiejś kapłance, ale tego już nikt nie pamięta. Później po uroczystości zabierali je wędrujący żebracy lub komornicy.

Po złożeniu darów śpiewano inne pieśni chwalące Panią, Matkę, Żywicielkę, chwalące piękno przyrody. Proszono o siły i opiekę. Być może ktoś je jeszcze ze starszych pamięta — mówiła Prababka, ale ona już nie. Pamiętała tę kończącą wieczorne spotkanie:

<i>Gdy</i>	<i>trwoga</i>		<i>nas</i>	<i>ogarnie.</i>
<i>Matko</i>		<i>wspomóż</i>		<i>nas</i>
<i>i smutek</i>		<i>skrót</i>		<i>i męczarnie</i>
<i>Matko wspomóż nas.</i>				
<i>Matko,</i>				<i>o Matko!</i>
<i>wspomagaj</i>				<i>nas,</i>
<i>nieustannie</i>		<i>w każdy</i>		<i>czas.</i>
<i>Gdy wiarę tracim żywą.</i>				
<i>Matko,</i>		<i>wspomóż</i>		<i>nas.</i>
<i>Nadzieję</i>		<i>wzbudź</i>		<i>prawdziwą,</i>
<i>Matko wspomóż nas.</i>				
<i>Matko,</i>				<i>o Matko!</i>
<i>wspomagaj</i>				<i>nas,</i>
<i>nieustannie w każdy czas.</i>				
<i>Gdy</i>	<i>miłość</i>		<i>gaśnie</i>	<i>w duszy,</i>
<i>Matko,</i>		<i>wspomóż</i>		<i>nas,</i>
<i>Niech</i>	<i>nasz</i>	<i>głos</i>	<i>Ciebie</i>	<i>wzruszy,</i>
<i>Matko wspomóż nas.</i>				

Matko,  
wspomagaj  
nieustannie w każdym czasie.

o Matko!  
nas,

Obie pieśni zostały włączane do pieśni maryjnych śpiewanych także w kościołach. Druga pieśń nie została niezmieniona. W pierwszej zmieniono słowa w strofie trzeciej i dodano czwartą. Trzecia po zmianie brzmi:

Ona	dzieł	Boskich	korona
Nad		Anioły	wywyższona;
Choć	jest	Panią	nieba,
Nie gardzi dary naszymi.			ziemi,

Czwarta, dodana:

Wdzięcznym	strumyki	mruczeniem,
Ptaszeta	słodkim	kwileniem,
I co	czuje,	i co
Niech z nami śławi Maryję.		żyje,

W Michałówce na majówkę przychodzono pod dorodne stare lipy stojące na pograniczu gospodarstwa Lusinów i Misków przy zbiegu czterech dróg, nieopodal stawu. Na jednej z lip był zawieszony niewielki obrazek Matki Boskiej. Po zachodzie słońca, pod lipami zaczęli się zbierać ludzie z całej wioski. Tworzył się niepowtarzalny klimat. Witali się z sobą, rozmawiali, aż nie zapadł zupełny zmrok. Z nad stawu dochodził rechot żab. W pobliskich sadach kwiliły pisklęta ptaków, układane do snu. Dobiały odgłosy szczekających psów. Opadała wieczorna rosa, która niosła głośnie. Pachniały kwitnące w sadach drzewa a później także bzy, czeremcha, lilie. W takiej atmosferze intonowano: *Chwalcie łaki umajone....*, śpiewano pieśni maryjne, niekiedy *Litanie do NMP* i gdy gwiazdy zaczęły rozświetlać niebo kończono majówkę pieśnią — modlitwą: *Gdy trwoga....* Uczestnictwo w obrzędzie oczyszczało, wносиło spokój i radość. Dawało poczucie niezwyklej więzi z naturą i napełniało energią.

W tym samym czasie trwały majówki w innych miejscach w okolicy. Niedaleko na przy skrzyżowaniu dróg wewnątrz Górnej Wsi, pod murowaną kapliczką przy domu Grzesikowskich też śpiewano. Śpiewy zbiegały się i zapęlała się nimi cała przestrzeń. Bywało, że w tym samym czasie śpiewano tę samo pieśń, która wzbijała się wysoko w rozgwieżdżone niebo. Po zakończeniu obrzędu ludzie w ciszy i zadumie rozchodzili się do swoich domostw.

\*\*\*

Na przełomie maja i czerwca przypadają Zielone Świątki. W liturgii kościelnej zesłania Ducha Świętego, ale w jakiejś pradawnej tradycji trudnej do przewycięzenia przez kościół miały one w sobie coś ze starych wierzeń i religii. Rozpoczynały okres świąt sobótkowych, który kończył się w noc przesilenia wiosenno — letniego wiankami, czyli nocą poświęconą Kupale, zwaną Nocą Świętojańską. W przeddzień świąt majono wejścia do domów lipowymi gałęziami, przyozdabiano nimi i inne budynki, a także wozy. Świąta trwały dwa dni. W pierwszym dniu ludzie szli gromadnie na sumę do kościoła. Po niej, tam gdzie były Ochotnicze Straże Pożarne i remizy odbywały się pokazy strażackie, a po nich festyny. Dzieci i młodzież nieuczestnicząca w festynach, gdy zapadał zmrok zabierała wcześniej przygotowane sobótki i race. Sobótki były to snopki słomy zatknięte na wysokich kijach. Race zaś to kulki ugniecione z sierści zwierząt, pozyskane podczas czesania krów lub koni, nasączone substancją łatwopalną: olejem lub naftą obwiązane drutem, tak by je można było wyrzucać. Wychodzono w pola, na miedze między łany rozwiniętego już w kłosa zboża. Zapalano sobótki i race. Sobótki obnoszono między polami, race rozkręcano na drucie i rzucano między zboża. Magiczny obrzęd ognia miał zapobiegać chorobom zbóż — głównie czarnej śmierci. Miał też gwarantować dobre zbiory. Po obejściu pól, zbierano się w dolinkach. Palono ogniska. Tańczono i śpiewano. Przynoszono z sobą też jaja i patelnie. Smażono na nich nad ogniskiem jajecznicę. Była to też noc psot i figli. Jeżeli jakiś gospodarz nie wstawił wozu do stodoły, lub zostawił w polu sprzęt rolniczy, to na drugi dzień musiał go długo szukać. Bywało, że wozy, pługi ba nawet wychodki wynoszono wysoko na drzewa i zostawiano je w ich koronach. Naramski proboszcz, na kazaniach piętnował te pogańskie obyczaje i wzywał do opamiętania się. Ks. M. Pałęga miał do nich inny stosunek i nie można było być zaskoczonym gdy pojawiał się przy ognisku wśród rozśpiewanej i roztańczonej młodzieży. Ostrzegał jednak, że obrzęd sobótkowy może być niebezpieczny, bo łatwo zaproszyć ogień, a obchodzenie pól z sobótkami nie zapobiegnie chorobom. Po niedzielnej sumie, wybierał się zatem na święcenie pól. Jeżeli tego chciano, ludzie zbierali się w umówionym miejscu i oczekiwali na niego. Przywożono go bryczką, wraz z kościelnym. Przywożono krzyż procesyjny i chorągwie. Formowała się procesja i wędrowała polnymi drogami wśród upraw. Śpiewano pieśni

kościelne, a on kropił święconą wodą poletka żyta i pszenicy.

W Boże Ciało w Naramie i Michałowicach oraz innych wioskach, w których były kościoły odbywały się procesje. Nigdy jednak nie docierały one do wiosek od kościoła oddalonych.

W przeddzień Świętego Jana w domach pleciono wianki z liści kopytnika i z rozchodnika i poświęcano je w kościele, przynoszono i wieszano nad drzwiami domów. Jak wyjaśniała Prababcia, było to echo czasów minionych, których nie umiano wpleść w święta kościelne. Na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych tradycja ta zanikła, ale kiedyś, kiedyś wianki przygotowywały panienki na wydaniu. Pleciono je tak samo i z tych samych roślin, po to by w noc przesilenia wiosenno — letniego udać się z nimi nad rzeki, u brzegów, których rozpalano ogniska i obchodzono Noc Kupały. Śpiewano przy nich obrzędowe pieśni. W wiankach umieszczano ogień i puszczano je na wody rzeki. Już jednak nikt, łącznie z Prababcią nie pamiętał ani pieśni obrzędowych, ani obrzędów tej nocy.

W połowie lipca w niedzielę tygodnia, w który przypadało święto Matki Boskiej Szkaplerznej w Naramie odbywał się odpust. Od rana przed murami kościoła i plebanii rozkładano kramy: ze słodyczami i zabawkami. Tu można było kupić niemal wszystko: cukierki, czekoladki, lizaki na patyku; ciasta i ciasteczka; piszczałki, gwizdki, organki duże i małe; drewniane koniki zaprężnięte do wózczków; koguciki drewniane na kółkach klaszczące skrzydełkami; korkowce, kolorowe piłeczki na gumce wypełnione trocinami; baloniki na druciku; chusty i chusteczki. Wszystko pachniało i mieniło się kolorami. Na placu przed szkołą ustawiano karuzelę i taką z konikami dla młodszych dzieci i wysoką, motorową z siedzeniami na łańcuchach. Przy karuzelach grała muzyka. Tłum ludzi przechodził pomiędzy straganami. Był gwar przepelniony dźwiękami zakupionych instrumentów muzycznych, strzelaniem z korkowców i pistoletów. Kawalerowie starali się podrywać panienki. Tym bardziej, że po południu w remizie strażackiej zaczynała się zabawa, trwająca do rana.

\*\*\*

Gdy zbliżała się połowa sierpnia zmagano się na pielgrzymkę do Kalwarii Zebrzydowskiej, na obchody Wniebowstąpienia Najświętszej Marii Panny, zwanej Matką Boską Zielną. W przeddzień 15 sierpnia kobiety przygotowywały w domach do święcenia ziele. Posyłały dzieci na łąki i do lasu by przyniosły zioła konieczne do wiązanki, którą się poświęca. Wciąż jeszcze pielęgnowały tradycję przekazaną im przez ich babki i matki.

Prababcia opowiadała, że i to święto było kiedyś związane z kultem Matki — Ziemi zwanej też Matką Zielną. Zbierano wtedy zioła tak, jak dziś i układano je w wiązki, ale towarzyszyły temu pieśni i obrzędy. Gospodyni domu wychodziła jeszcze nocą boso, ubrana tylko w zgrzebną koszulę, by o świcie być na łąkach i skalistych zboczach. Gdy zaszła na łąki, zaczęła zbierać zioła, śpiewając:

Wysłałam		o świcie	boso
w czystej		i zgrzebnej	koszuli.
Nogi		obmyłam	rosą
aby nie kalać ziemi.			

Zioła	na	łąkach	zbieram
bym	była	zdrowa,	szczęśliwa
by	wszyscy	moi	zdrowi
i trzoda		moja	i przechodzień,
który zagrodę mą odwiedzi.			

W	światlisty	bukiet	układam
trawy		i życiodajne	ziola
bo	w nich	jest	moja
gdy przyjdzie złe, spokój naruszy.			nadzieja

Nazbierawszy ziół wracała z nimi do domu i układając je w bukiet znowu śpiewała:

Układaj		ziola,	układaj
układaj		ziola	starannie
układaj		ziola	pomału
mięty,		rumianku,	dziurawca
nie	żałuj,	kobietu,	nie
piołunu,		wrotyczu	żałuj,
dodaj,		dodaj	dodaj
by	ziola	nie	były
lebiody		skalistej	gałązkę
kłęczami perzu obłoż.			gorzkie
Układaj		ziola,	dołoż
			układaj



układaj zioła pomału.

Może to dziwne, ale matka Mariana pamiętała jeszcze tę drugą piosenkę i przyśpiewywała ją sobie przy układaniu wiązki ziół, w której obowiązkowo musiały się znaleźć: mięta, rumianek, dziurawiec, lebioda skalista (nazywana lebiodką), krwawnik, gałązka wrotyczu i piołunu, kłącza perzu. Ułożony z nich pękaty bukiet obwiązywano łykiem z kory wiklinowej. Ziele święcono w kościele, przynoszono do domu i wieszano w suchym, osłoniętym od słońca i deszczu, przewiewnym miejscu. Tam wysychało. Po zioła sięgano w razie jakichś dolegliwości. Raz to po mięte, rumianek czy dziurawiec w razie kłopotów żołądkowych czy trawiennych. Po odrobinę piołunu gdy dzieciom nie dopisywał apetyt; po jeden lub dwa koralikowe kwiatki wrotyczu przeciw pasożytom. Siegano też po nie gdy w zagrodzie wycieliła się krowa lub okociła owca. Gotowano wodę wlewano do wiadra, wrzucano do niej garść wybranych ziół. Gdy napar przestygł podawano go do picia krowie lub owcy.

Z czasem, kiedy coraz popularniejsze stawały się leki dostępne w apteka, gdzieś w latach 60-tych, ziele zanoszone do święcenia miło już znaczenie bardziej symboliczne, podtrzymywania tradycji niż praktyczne, nie dbano już o jego skład i zioła zaczęto zastępować kwiatami, najczęściej z własnego ogródka.

Być może jednak warto przypomnieć, co opowiadała Prababcia o uroczystościach Matki Zielnej: gdy mijała połowa dnia, kobiety wkładały na siebie odświętne stroje, zabierały z sobą resztki ubiegłorocznych ziół, zawiązane w czystą szmatkę oraz przygotowany bukiet i wędrowały z nimi na Łysą Górę - skaliste wzgórze pokryte ubogą roślinnością. Najbliższa taka, był gdzieś za Michałowickim Lasem w kierunku Bibic, ale jeszcze po tej stronie granicy, to znaczy w zaborze rosyjskim. Musiały tam dotrzeć przed zachodem słońca. Na wzgórzu stał zbudowany z wikliny szałas i był ułożony stos drzewa i gałęzi na ognisko.

Gdy słońce chyliło się już ku zachodowi i wszystkie kobiety były zgromadzone w kręgu wokół przygotowanego ogniska, z szałasu wychodziła kobieta z długimi, jasnymi i rozpuszczonymi włosami, przyozdobionymi kwiatami, w długie po ziemie białej szacie z wysoką, zakrzywioną laską w lewej dłoni. W prawej zaś z zapalonym łuczywem. Pozdrowiała zebrane i wchodziła do środka kręgu, do ułożonej waty. Czekala jak słońce zbliży się do horyzontu i zacznie się za nim skrywać. Wtedy rozpalala ognisko, mówiąc:

wrzucmy	w ogień	wszystko	co	stare,
nasze	bóle,	troski		i żale.
wrzucmy	w ogień	uschnięte		zioła,
niech	powietrze	sobą		nasycą.
Bukiety	wznieśmy	nad		czoła,

niechaj niebo nad sobą zobaczą.

Po tych słowach kobiety podchodziły kolejno do ogniska, rozwiązywały szmatki z resztkami starych ziół i wrzucały je w ogień, po czym wracały do kręgu. W tym samym czasie prowadząca uroczystość dorzucała do ogniska, przygotowane wcześniej gałązki jałowca, żywiczne gałązki sosny, uschnięte pnącza róży. Gdy powietrze napelniło się aromatami intonowała pieśni, podchwytywane przez zebrane. Śpiewając je okrążały ognisko, przemiennie zbliżając się do niego i okadzając w jego dymie, trzymane w ręku zioła. Po siedmiu okrążeniach, zatrzymywano się. Celebranka opuszczała na chwilę. Szła do szałasu. Tam zostawiała laskę i wracała z glinianym dzbanem w jednej ręce, w drugiej miała garść gliny. Podeszła do ogniska. Podniosła w górę dzban i zaczęła z niego wąskimi strumieniami wylewać wodę w płomień ogniska, mówiąc:

Wlewam	w ogień	wodę	czysta	źródlaną
Wrzucam	w ogień	garść	ziemi	(wrzuciła)
Przywołuję				wiatr.
Niech	się	żywioty		połączą
Niech	nasze	zioła		owioną

niech im mocy nadają.

Kobiety wyciągały zioła w kierunku ogniska, z którego unosił się gęsty dym i powtarzały chórem:

Niech	się	żywioty	połączą
Niech	nasze	zioła	owioną
niech	im	nadadzą	moc.
Niech	im	nadają	moc,

Niech im nadadzą moc.

Prowadząca zanosila dzbanek do szafasu, wracala z laska w dloni do kręgu i intonowała ostatnią pieśń. Była to ta sama, którą kończono uroczystości majowe:

Gdy trwoga nas ogarnie.

Matko wspomóż nas.....

Pod usłanym gwiazdami niebem przy granii świerszczy kobiety wracały do domów.

Swoją drogą, to aż dziwne, że w kościelnym święceniu ziół istnieje pewne podobieństwo do kończącego rytu tamtego obrzędu. Najpierw ksiądz odmawia modlitwę, później przechodzi przez środek kościoła kropiąc zioła i ludzi wodą a następnie bierze trybularz z ogniem, sypie kadzidło i ponownie przechodzą przez środek okadza je.

Ostatnim akordem w rytmie chłopskiego roku były i pozostają dożynki. Jeżeli wierzyć Prababci, to święto, które zrodziło się z wdzięczności ludzi biednych - pańszczyźnianych chłopów. Gdy zakończyły się żniwa dziedzic pozwalał chłopom na skoszenie i zebranie resztołek, czyli pozostawionych tu i ówdzie zbóż oraz na zbieranie kłosów na polach. Po zbiorze chłopcy wyplatali wieniec z kłosów i zanosili go w podzięcie panu. Później, po uwłaszczeniu, gdy już mieli własną ziemię, po zbiorach wieniec składali wójtowi gminy. Szli do wójta z wieńcem w korowodzie, śpiewając piosenki i pieśni. Niektóre z nich przetrwały, między innymi, zaczynająca się od słów: *Plon niesiemy plon....* Po przekazaniu wieńca urządzano zabawę na świeżym powietrzu. Śpiewano i tańczono. Gdy rozwinął się ruch ludowy świętu nadano charakter ludowego święta plonów. Dożynki organizowano w każdej gminie. Pleciono zbożowe wieńce, wypiekano chleb z nowych zbiorów i barwnym korowodem, lub na ustrojonych wozach i bryczkach ruszono do kościoła by wieńce poświęcić. Po poświęceniu chleb i uroczystość wręczano gospodarzowi dożynek, po czym bawiono się na zorganizowanym festynie. W okresie dwudziestolecia międzywojennego zorganizowano po raz pierwszy ogólnopolskie dożynki prezydenckie.

Od wspomnianych czasów minęło wiele lat. Już dobrze wkroczyliśmy w XXI wiek, jak to określa Zygmunt Bauman w „ponowoczesność”. Michałówka istnieje jeszcze tylko w pamięci odchodzącego pokolenia. Określenie „chłop” już nie przystoi w stosunku do wielu mieszkańców, którzy przybyli tu z miasta i prawie nic a nic nie mają wspólnego z rolą i rolnictwem. Elektryczność, wodociągi, radio, telewizja, Internet wywarły poważny wpływ na styl życia a także na obyczaje. Żyjąc w „globalnej wiosce”, w której w parę sekund możemy się skontaktować z ludźmi w odległych zakątkach ziemi, stykamy się wieloma kulturami i religiami a przecież staramy się zachować wartości przekazane przez dziadków i rodziców, bo jak napisał Konstanty Ildefons Gałczyński w *Pieśniach*:

Słońce	wschodzi		i zachodzi,
drzewa	kwitną,	liście	ronią,
my	strumień		rzeczywistości
kształtujemy naszą dłońią.			
[.....]			
Jesteśmy	wpół	drogi.	Droga
pędzi	z nami	bez	wytchnienia.
Chciałbym	i mój	śląd	na drogach
ocalić od zapomnienia.			

### **Marian Dziwisz**

Filozof, poeta, nauczyciel, były redaktor "Zdania" a następnie "Pisma Literacko-Artystycznego" Redaktor lub współredaktor antologii tekstów z zakresu religioznawstwa: Buddyzm, Judaizm, Taoizm Wydanych w Bibliotece "Pisma Literacko Artystycznego"

[Pokaż inne teksty autora](#)

(Publikacja: 28-08-2012)

[Oryginał..](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,8294) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,8294>)

Contents Copyright © 2000-2012 Mariusz Agnosiewicz

Programming Copyright © 2001-2012 Michał Przech

Właścicielem portalu Racjonalista.pl jest Fundacja Wolnej Myśli.

Autorem portalu jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tego portalu i jakiegokolwiek jego części.

Wszystkie elementy tego portalu, wliczając w to strukturę katalogów, skrypty oraz inne programy komputerowe są administrowane przez Autora. Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tego portalu oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tego portalu i nie korzystać z jego zasobów.

Informacje zawarte na tym portalu przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów portalu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na portalu. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki prezentuje.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych portalu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do [redakcja@racjonalista.pl](mailto:redakcja@racjonalista.pl)